

BRONISŁAW PRZEPIEŚĆ, nagranie z 24 lipca 1989 roku.

ARCHIWUM WSKOBNIE

Nazywam się Bronisław Przepieść. Urodziłem się 28 marca 1916 roku we wsi Jeziorki koło Grodna. Rodzice byli rolnikami. Ja również tam pracowałem, początkowo u rodziców, gdzie pasłem konie, cielaki. Tam kształciłem się od początku dziewiątego roku życia, dlatego że początkowo po I wojnie światowej szkoły nie było, dopiero później powstała. W Jeziorkach skończyłem pierwsze cztery oddziały. Następnie trzy oddziały skończyłem w Druskiennikach nad Niemnem, dokąd chodziłem ze wsi Szandubry, gdzie mieszkałem u siostry. Pięć kilometrów codziennie chodziłem do tej szkoły. Po jej ukończeniu zostałem przyjęty do Szkoły Handlowej w Grodnie. Była to trzyklasowa szkoła edukacyjna, którą ukończyłem w 1935 roku. Po ukończeniu szkoły niestety żadnej posady państwowej nie otrzymywałem przez dłuższy czas. Dlatego pracowałem z braćmi, zwykle z jednym bratem Józefem, przeważnie przy wyrębie lasu. Całą zimę tak przepracowałem.

W następnym roku to jest w 1937 ochotniczo wstąpiłem do wojska. Służbę odbyłem w 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich im. Stefana Batorego. Po odbyciu służby znowu wróciłem do swojej wsi rodzinnej i znowu pracowałem tak samo. Trochę na roli a przeważnie w lesie i tam zacząłem się starać o posadę państwową. Zaofiarowano mi pracę na poczcie z uposażeniem 75 złotych miesięcznie. Tam pracowałem aż do wybuchu wojny. 24 sierpnia zostałem powołany, zmobilizowany do 133 Pułku Piechoty rezerwowego, który organizował się w Nowych Trokach pod Wilnem. Stamtąd zostaliśmy przerzuceni w pobliże Prus Wschodnich. Wyładowaliśmy się w Czerwonym Borze. Tam nasza jednostka pewien czas w majątku przebyła, aż do wybuchu wojny. Wtedy rozpoczęła się kampania wrześniowa.

Brałem udział w bitwach pod Wyszkowem, Różanem. Stamtąd

wycofywaliśmy się na Siedlce, przez Włodawę i aż do Tomaszowa Lubelskiego. Tam odbyła się ta druga bitwa pod Tomaszowem Lubelskim, bodajże 22 lub 24 września. Zostaliśmy pobici. Wycofywaliśmy się w jeszcze dość dobrym porządku na południowy - wschód. Niestety tutaj nas spotkała artyleryjska nawała ogniowa, którą nam zgotowali nasi wschodni sąsiedzi - Rosjanie. Wówczas kto gdzie chciał uciekał. Jedni przebijali się na wschód, drudzy wycofywali się z powrotem. Mój pluton łączności, w którym byłem służyłem wycofywał się w jeszcze dobrym porządku z biedkami, z uzbrojeniem, z kablami, które faktycznie to bardzo rzadko mieliśmy okazję wykorzystać, nawet dlatego, że to było cały czas ruchome, cały czas walka, wojna.

Wycofaliśmy się z powrotem na Krasnystaw i tam w końcu dowódca plutonu powiedział, że ci żołnierze, którzy są z terenów wschodnich albo północno - wschodnich mogą z powrotem wracać do domu, bo już nie ma sensu dalej wycofywać się. Natomiast ci, którzy byli - a była to większość - z zachodnich stron to znaczy od Warszawy, mieli dalej wycofywać się.

Nas było tylko dwóch, jak pamiętam. Zostawiliśmy broń, zostawiliśmy wszystko. Poszliśmy z powrotem już na Chełm Lubelski, doszliśmy do Brześcia nad Bugiem. Na dworcu była ogromna ilość wojska naszego, polskiego. Tutaj Rosjanie zaczęli twierdzić, że wsiadajcie do wagonu, tak zwanych bydlęcych lub towarowych, że was odwieziemy tam gdzie mieszkanie, bo tam droga jest zamknięta, że tam mosty są zerwane, a my powieziemy was okreśną drogą do domu. Kiedy wszystko się załadowało a było pełno, wzięli pozamykali od razu wagony z zewnątrz i zostaliśmy, jak to się mówi, zamknięci, aresztowani. Wtedy pociąg ruszył na północny - wschód.

Dwa dni to trwało. Nie dawali żadnego jedzenia. Dowieźli

do Orszy, gdzie zatrzymali się. Tam nam wydali po raz pierwszy chleb. Później kazali nam wszystkim wsiąść, stanąć w szeregach i wyciągnąć przed sobą dłonie. Każdy wyciągał dłonie przed siebie, chodzili oficerowie specjaliści od tego i przez to uznawali kto jest oficerem. Kto miał delikatne ręce, wypieszczone, to kazali od razu wychodzić z szeregu na stronę, a resztę znowu z powrotem zamknęli do wagonów.

Trzymali nas tam w wagonach przez dwa tygodnie. Wydawali zupę, chleb, czaj - jak oni śmiesznie nazywają herbatę - która faktycznie była gotowaną wodą. To u nich czaj się nazywało. Miałem zegarek. Sprzedałem go za bardzo niską cenę, dlatego, że nie znałem cen, a to było formalnie oszustwo. Za ten zegarek kupowałem chleb dla siebie i kolegi.

Po dwóch tygodniach nasz pociąg wrócili z powrotem do Baranowicz. Mieli tam dawać przepustki, lecz my z kolegą już nie czekaliśmy. Nie dowierzaliśmy, bo już raz nas oszukali. Poszliśmy na pociąg pośpieszny, wsiedliśmy i dojechaliśmy do Grodna. Tutaj już chcieliśmy sobie pójść gdzieś i uczcić to swoje wspólne wojażowanie. Myśleliśmy, że gdzieś pójdziemy wypić po kielichu czy coś innego. Niestety tutaj od razu już nas żandarmeria ruska chwyciła i chciała zaprowadzić do Komendantury, bo nie mieliśmy przepustek. Poprosiłem ich, żeby puścili nas do toalety, bo jesteśmy brudni i musimy się umyć a przecież tacy brudni nie możemy pójść. Zgodzili się. Myśmy wtedy przez inne drzwi na peron, do pociągu i każdy już pojechał do swojej miejscowości. Ja miałem już niedaleko do Rybnicy-Grodzieńskiej tak zwanej Przystanek, tam wysiadłem i wróciłem do domu.

W domu rodzice bezwzględnie ucieszyli się. Jeden z braci, Józef, który służył w 3 Pułku Szwoleżerów w Suwałkach, był już w domu. Wrócił na własnym koniu. Najstarszy brat Antoni nigdzie

nie służył. Brat trzeci wedle starszeństwa Stanisław był ranny pod Różanem. Był w jednostce, w tym samym pułku co i ja i został tam ranny w łokieć. Dostał się w jakiś sposób do szpitala w Wilnie. W szpitalu na Antokolu leczyła go już nowa ekipa lekarzy, składająca się z Litwinów. Jak przyjechałem do domu, to otrzymaliśmy od niego list, w którym przekazał wiadomość gdzie się znajduje. Pojechałem odwiedzić go. Dostałem się do szpitala na Antokolu, zawiozłem mu paczkę żywnościową. Stamtąd wróciłem.

No i tak przebyłem straszny koszmar rosyjskiej gehenny. To było najstraszniejsze. To było straszne.

Ponieważ dosyć dobrze nam się powodziło, groziło nam cały czas tak zwane rozkułaczenie. Wszystko to zawdzięczaliśmy ciężkiej pracy, strasznej pracy. Zarabialiśmy pracując w lesie przy wywózce drzewa, przy ścinaniu lasu itd. Mieliśmy dosyć sporo gotówki, dosyć dużo jak na wieś, chyba najlepiej żyliśmy. Cały czas mieliśmy stracha, że nas gdzieś wywiozą, ale jednak jakoś szczęśliwie pracowaliśmy w lesie. Byliśmy też zmuszeni do przymusowej pracy w lesie, bo oni tam urządzali Koło Augustowa obronne transzeje wykładane drzewem. Na ten cel brano drzewa z naszych lasów, bo Jeziorki położone są w tak zwanej Puszczy Grodzieńskiej, gdzie były bardzo ładne lasy. Wszystkie drzewa rżnięto, a cała ludność okoliczna była zmuszona do cięcia, do wyrębu lasu. Las szedł do umocnienia ich pozycji koło Augustowa, na ówczesnej granicy radziecko - niemieckiej.

Tak doczekaliśmy wybuchu wojny 22 czerwca 1941 roku. Akurat byliśmy w takiej sytuacji, że spodziewaliśmy się w każdej chwili, że nas wywiozą. Nie nocowaliśmy po domach. Nie tylko my, czterej bracia, ale i inni, którzy byli zagrożeni wywózką, to też nie nocowali. Ja nocowałem na miedzy między żytem.

W nocy czuję, że jakby trzęsie się ziemia, jakiś huk, hałas. Myślę sobie, że pewnie czołgami przyjechali po nas, że Rosjanie przyjechali tutaj pozabierać ludzi samochodami i czołgami. W końcu, kiedy się całkowicie obudziłem ze snu, rozróżniłem, że to są przelatujące samoloty a wybuchy są gdzieś daleko w stronę Grodna. Okazało się, że to jednak wybuchła wojna. Mimo to, że to wróg na wroga szedł, ale byliśmy bardzo, bardzo zadowoleni. Chcieliśmy faktycznie z dwojga złego, żeby byli Niemcy niż Rosjanie, bo to byłoby lepsze.

Wstałem, zabrałem swoje rzeczy, które tam miałem do spania, jak koce i poszedłem do domu. Idę przez podwórko brata ciotecznego, a ten już wymachuje rękami i krzyczy: Bracie wojna, wojna! nie ma ruskich, nie będzie ruskich! Ja też byłem zadowolony. Razem z jeszcze jednym kolegą poszliśmy w pole. Mieliśmy tam radio, znalezione i tam słyszeliśmy płaczący głos Mołotowa o napaści Niemców na Związek Radziecki.

Po południu, mniej więcej w godzinach wieczornych Niemcy już byli w naszej wsi. Ludność, a przede wszystkim my, tak była zadowolona, że nawet bramę triumfalną dla Niemców wystawiono. chlebem i solą ich przyjmowano. Jeden z oficerów niemieckich, który znał język polski podszedł i powiedział, że pewnie nam zalał ojciec Stalin za skórę sadła dobrze, ale dodał, że jak wam Stalin nie był ojcem, tak Hitler nie będzie wam matką. Powiedział szczerze. Rzeczywiście okazało się, że nie był matką i to było straszne. Ale pomimo wszystko, tak biorąc pod uwagę ile myśmy przeżyli u Ruskich, ile z Niemcami, zdaje się, że Niemców lepiej przeżyliśmy niż Ruskich. Chociaż nas trzech braci walczyło z bronią w rękę, bo czwarty był w domu, chociaż chodziliśmy po lasach i nie mogliśmy być w domu - rzadko kiedy wszępowaliśmy po nocach do rodziców, żeby ich zobaczyć - pomimo wszystko zdaje się, że Niemiecką okupację przeżyliśmy lepiej.

Bezwzględnie początkowo okupacja była, nie tak - powiem - ciężka. Kazali kontygenty dawać mleka, mięsa, jajka, wszystko dawaliśmy.

Później jeden z konfidentów oraz sołtys powiedzieli, że my mamy schowane karabiny maszynowe. Powiedział nawet w którym miejscu. Myśmy faktycznie tam mieli schowaną tylko maszynę do pisania oraz radioodbiornik. Przyjechali. Myśmy byli we trójkę w lesie, był tylko jeden brat, siostra i rodzice. Od razu przyprowadzili, powiedzieli, że na was taki i taki powiedział, że wasz najbliższy przyjaciel powiedział, że wy macie schowany bardzo duży majątek. Nawet powiedział, że tam i tam w drewni, gdzie drzewo włożone, pod takim i takim rzędem drzewa, tam jest u was schowane. Siostra mówi, że nieprawda, że nic nie mamy. Odpowiedział, że to dopiero okaże się. Kazał ludzi sprowadzić.

Sprowadził coś czterech ludzi, którzy wzięli rozrzućili drzewa ułożone na zimę i zaczęli kopać. Kopali, kopali i rzeczywiście dokopali się do skrzyni. Żandarmi byli strasznie ..., jak to zobaczyli i stwierdzili, że tutaj będą karabiny maszynowe. Żandarm blady i zdenerwowany pochodził, pochodził i w końcu kazał wydobywać skrzynię. Kiedy ja wydobyli, kazał otworzyć. Otworzono. Popatrzał, maszyna do pisania i radio. Szukał. Nigdzie nie było żadnej broni, nic. Pomimo Szwab, Niemiec, ale jednak jakby odetchnął z ulgą, że nie trzeba będzie jemu rozprawiać się tutaj na miejscu, jak to się mówi - rozstrzeliwać. Kazał to wszystko załadować na wóz. Wtedy otworzyli spichrz, wszelkie różne rzeczy odzież nie odzież, wszystko zabierał. Były cztery rowery-zabrał rowery, kazał załadować wszystko i pojechali. Kazał nam wszystkim do nich przyjść, jutro rano do żandarmerii w Druskiennikach, nam czterem i siostrze. Myśmy we trójkę poszli do lasu, przyłączyliśmy się do oddziału, gdzie byliśmy cały czas.

Brat jeden nie poszedł i siostra.

- Czy pamięta Pan jaki to był oddział?

- To była Kompania Podniemeńska, należąca do zgrupowania Regnera, a ten był podporządkowany Wilkowi.

Tak byliśmy cały czas w oddziale aż do zakończenia działań wojennych. Takie kopcioło broniliśmy, tam były na Litwie. Tam był posterunek żandarmerii. Było tam aresztowanych kilkanaście partyzantów, między innymi z jednego oddziału, tam był dowódca tego oddziału. Podeszliśmy tak niepostrzeżenie, że żandarmerii nie mieli czasu oddać wystrzału, placówkę rozbiliśmy i później oswobodziliśmy aresztowanych. Większych takich akcji nie było. Tam były prawda, ale to już było wspólnie z partyzantką rosyjską. To było wysadzenie pociągu między Druskiennikami a Porzeczem, wysadzenie szyn. Była owszem potyczka z żandarmerią niemiecką i nawet wojsko tam brało udział, ale to już tam raczej więcej było partyzantów radzieckich niż naszych. Dwóch gestapowców niemieckich zostało ciężko rannych, którzy zostali załadowani. Pod samą wsią Jeziorki było takie zdarzenie.

- Jak układały się stosunki między waszym oddziałem a oddziałami radzieckimi?

- To chwilowo tak, jak potrzeba była, ale tak raczej to nie bardzo przychylnie na nich patrzyliśmy, bo oni grabieżą zajmowali się. Bardzo dużo grabili. Między innymi konfident, ten co myśmy..., to on z nimi pracował i grabił ludność okoliczną. Później okazało się, że bardzo dużo rzeczy miał nagrabionych, którą poznali inni, jako swoją własność wcześniej zagrabioną. Kobiety nosiły tam chustki zagrabione, które potem poznawali właściciele jako ich własność.

- Czy wasz oddział występował w obronie ludności cywilnej?

- Myśmy występowali ale to nie zawsze. Oni zawsze wkręty mieli, jak to się mówi - wtyczki. Oni wszystko przeczuwali, wszystko wiedzieli, mniej więcej każdy ruch i dlatego uprzedzali, i jakoś omijali to wszystko. W każdym bądź razie było dużo przeszkód między tymi... .

Tak doszliśmy do 1944 roku. Rosyjskie wojska tutaj już podeszły, do naszej miejscowości. Myśmy wrócili do domu. Wróciliśmy wszyscy i tak przebywaliśmy spokojnie. Tutaj pracowaliśmy na roli, zaczęliśmy pracować, tutaj później w końcu przybyli... , zaczęli pędzić z tych tak zwane strachne roty, to te Rosjanie, to ci, którzy byli podczas okupacji niemieckiej nie wycofali się na wschód, ale oni dali się zagarnąć tam. Byli to przeważnie Białorusini. I to strasznie, w nędzy ich tam pędzili, bez karabinów, bez broni, głodnych. Zapędzili ich do naszej wsi i każdemu tam wedle widoku jaki dom przedstawiał, to jednym czterech dawali do nakarmienia, drugim dwóch, drugim sześciu, tak różnie. Nam coś sześciu dali do nakarmienia. To oni tak, że na przykład dzisiaj zjedzą u mnie, to jeszcze szli do następnych. Wygłodzeni byli tak strasznie, że jednorazowy posiłek to wszystko jedno. Oni czuli się cały czas głodni. I w końcu ich zabrali.

Później przez Niemen, to formalnie ich tam wplaw wprost rzucali, z wiązkami chrustu. Brali wiązki chrustu, wiązali to i na tym przez Niemen przepędzali ich. Kto tonął, to tonął. I tam dopiero w obliczu wroga dawali im broń i na pierwszy ogień posyłałi.

Byliśmy w domu do 19 czerwca 1946 roku. Przed tem jeszcze jakieś parę tygodni wcześniej było zdarzenie, że w sąsiedniej wsi, to parafianie na wsi Przewałce, zostało zabitych czterech aktywistów komunistycznych, między innymi jeden był Rosjanin - jako naczelnik gminy został zabity. No i od razu bezwzględnie podejrzenie padło, że to AK zadziałało. Przede wszystkim rzuciło się nie wiem do /koniec I strony, kasety nr1/

I między innymi było tam trzech oficerów, jeden kapitan i dwóch lejtnantów. Jeden był między innymi młody taki Ukraińiec. Często do nas przychodzili, brali nawet nasze ubrania, garnitury świąteczne. Nie wiem czy oni ubierali się i chodzili po wsi. Przychodzili, gościli u nas, dawaliśmy im jeść, wszystko jak najbardziej. Zapewniali, że wy nie bójcie się, wy jesteście dobre chłopaki, wy spokojne, nic wam nie zagraża. Po dwóch tygodniach rano, właśnie 19 czerwca, jeszcze przed wschodem słońca dom nasz i pomieszczenia gospodarcze okrążyła cała ich ta kompania z karabinami maszynowymi. Rozbudzili nas, poderwali nas i kazali się ubierać, i powiedzieli że jesteśmy aresztowani. Matka płakała, matka strasznie płakała. A oni właśnie, ci trzej oficerowie, którzy u nas gościli tyle, którzy zapewniali, że jesteśmy spokojni, że nam nic nie grozi, właśnie ci tutaj ... to jeden podszedł do matki i powiedział: Mamasza, mamasza nie płacz, czego ty płaczesz?/Matko, matko nie płacz, czego ty płaczesz?/, my tobie jednego syna zostawimy, no kogo ci zostawić? Matka milczy bezwzględnie, dla niej wszyscy równi. A on później sam powiedział: charaszo, my tobie zostawimy Antona, najstarszewo - najstarszego. I rzeczywiście Antona zostawili.

Nas trzech to znaczy mnie- Bronisława, Józefa i Stanisława zabrali i poprowadzili najprzód do Łoży, to znaczy piechotką na piechotę 12 kilometrów do Łoży. Tam krótki odpoczynek. W końcu załadowali nas na samochód, ciężarówkę i zawieźli do Grodna.

W Grodnie tam byłem na ulicy dawnej, przedwojennej Howera. Tam teraz była ich siedziba MGB - Ministerstwo Gasudarskiej Bezopasnosti. Tam w lochach, piwnicach zostały zrobione tymczasowe cele do badań, do przebywania. W jednej celi tam nas było

siedmiu. Wszystkich nas rozdzielili, trzech braci. Każdy oddzielnie był, jeden drugiego nie widział. Przychodzili cały czas, w dzień leżeć, spać nie można. Cele były betonowe, podłoga betonowa bez nar, na betonie się kładło. Ale spać to mnie i tak nie dawali. Dniem musiałem czuwać. Kiedy nadszedł wieczór i właśnie wolno było spać, od razu już słychać było zgrzyt klucza - otwierano i drzwi otwierano, i od razu przychodził i mówił: nabuku P, na literę P proszę, Przepieść Bronisław dawaj, wychadi. Zaprowadzał mnie do pomieszczenia śledczego, w którym był kapitan i tam od razu ten pytał się - kazał stanąć na baczność - i pytał się: Czy - po rusku mówił to jest - Wy prynadlieżycie ku Padpolnoj Pawstańczaskoj Arganizacji Armii Krajowej? Ja mówię, że nie. A on: Nu kak wy prynadlieżali do Polskoj Pawstańczaskoj Arganizacji Armii Krajowej, Padpolnoj Armii. Ja mówię, że nie.

No to on wtedy zaczynał i mówił: Stój. I stałem tak godzinami a on sobie drzemał. Drzemał, drzemał a ja całymimi godzinami, całą noc tak stałem. Drzemie trochę ocknie się, popatrzy i mówi: smirno - żeby na baczność tak stać - kak staisz? Musiałem znowu nogi przyciągać do siebie i znów stanąć na baczność. Tak przez całą noc. Rano, kiedy już pobudka do wstawania wszędzie, już nie można było kłaść się, mnie odprowadzali do celi. I tam przez dwa tygodnie mnie tak męczyli.

W końcu któregoś dnia, wszystko nie przyznawałem się, któregoś dnia wzięli mnie, zaprowadzili do pewnej celi i okazało się, że jest tam mój starszy brat Józef. Zresztą obaj byli starsi ode mnie. Józef był. No i tam zaczęli, koło nas położyli, ale było między i jeszcze iluś tam było. A tam widocznie była wtyczka, który donosił im. Więc przysłuchiwał się co my będziemy mówić, ale my akuratna szczęście po polsku nie rozmawialiśmy a rozmawialiśmy po litewsku. I tak, że oni nic z tego nie zrozumieli. Myśmy

porozmawiali z bratem i nazajutrz nas rozłączyli. Nazajutrz znowu ten sam śledczy i pyta się: A pakamu wy razgawaryli z bratem? Wtedy ja zrozumiałem, że ach, to wyście mieli tam szpiega to znaczy, konfidenta, który wydaje specjalnie. To znaczy, że myśmy dobrze wykombinowali, że rozmawialiśmy po litewsku a nie po polsku.

Potem któregoś dnia po takim dniu wzięli mnie i prowadzą na odległe miejsce, aż na przedmieście Grodna i tam po drodze wszyscy konwojenci mnie straszą, że dzisiaj to będziesz miał, dzisiaj to ci tam dadzą szkołę, ciebie..., żeby tutaj, to jest śródmieście, to nie chcą, żebyś nie krzychał..., a tam to możesz sobie krzycheć, możesz... . Prowadzą.

Byłem rzeczywiście podstraszony porządnie. No ale myślę sobie, co będzie, to będzie. Zaprowadzili, no i zaczęli od razu, ich tam trzech się zebrało i od razu zaczęli mnie tam bić, stałek podstawiali i później wyciągali, żebym ja padał na podłogę. Ja zacząłem wtedy krzycheć. Rzeczywiście krzycheć zacząłem tak mocno, nie tak mnie to bolało. Wtedy zaczęli mnie zatykać usta i ja wszystko zacząłem krzycheć, że mordercy rosyjscy, gestapo rosyjskie. Od razu przyszedł jakiś major i zaczął: Czego ty krzyczysz? czego ty ryczysz? czego ty...? A ja mówię: Że o masz bandytów swoich, to oni nie mają dowodów, że należałem do AK, to biciem chcą zmusić, mordowaniem.

Kazał mnie odprowadzić do drugiej celi, faktycznie pokoju, bo tam nie cele były a pokoje. Później zabrali mnie i odprowadzili z powrotem do Grodna. Na tym faktycznie moje śledztwo już skończyło się. Po dwóch, po trzech tygodniach to już mniej więcej tak było zakończone. Ale jednak, jeszcze często mnie... . Faktycznie to dzi więć miesięcy mnie tam przetrzymali. Dziewięć miesięcy.

Starszy brat, Józef, jego tak bili strasznie, wyciorami od karabinów, że jemu cała skóra popękała na plecach, rany same straszne, ogromne. W końcu tamten zobaczył, że jego chyba zabijają, więc powiedział: Piszcie co chcecie, ja podpiszę. Napisali, że on przyznaje się, że należał do Armii Krajowej. Od razu odłączyli jego dokumenty od naszej to znaczy, jego sprawę odłączyli i od razu przekazali to do Wojennego Trybunału.

Sędzia Wojennego Trybunału pyta się: To znaczy ty należałeś do Armii Krajowej? Brat odpowiedział: Ależ nic podobnego, nie należałem, skąd. Wtedy sędzia: Jak to, przecież ty tutaj podpisałeś, przyznałeś się. On powiedział: Proszę bardzo, zadark koszulę, oto przyznanie się do tego, tym zmusili mnie, że ja powiedziałem, piszcie co chcecie a ja podpiszę. Podpisałem bo by mnie zabili. Sprawę później od razu kazał już nie prowadzić, od razu odprowadzić do celi z powrotem i żeby jego badanie przeprowadzić w obecności prokuratora. Co prawda były to puste zarządzenia, ale w każdym bądź razie odprowadzili i wyroku żadnego nie było. Sprawę znowu nas trzech połączyli razem.

Po dziewięciu miesiącach przyszedł wyrok z Moskwy, przyszedł wyrok po cztery lata łagrów. Bracia byli tak już nastraszeni, że jeden, drugi podpisali wyroki. Ja nie podpisałem. Braci wywizli na etap o dwa tygodnie wcześniej. Mnie jeszcze trzymali, jeszcze prosili.

Któregoś dnia zaprosił mnie do siebie, wezwał pułkownik i mówi tak i tak, że czemu ty nie podpisujesz? Bo ja mówię, bo ja jestem niewinny, więc dlaczego, że tutaj nic nie tego, niesłuszny jest zarzut, niesłuszne skazanie. On powiedział: No tak, jak niesłuszne, to proszę bardzo bierz karandasz - bo to nie wolno było żadnych materiałów piśmiennych trzymać u siebie - bierz karandasz, kartkę papieru i proszę apelację pisz. Ja mówię: Aj co

wy mówicie grażdanin - ja mówię tak i tak jak ich nazywali - od tego wyroku żadnej apelacji nie ma już, nie ma, to jest najwyższy. On odpowiedział: No co, to ja że człien sawieckoj własti, ja że pałkownik, to jak ja wrażli? A ja mówię, że tak kłamiecie. No tak było. Więc on wpadł w taką złość, poczerwieniał i od razu kazał tutaj mnie wyprowadzić. Odprowadzono mnie z powrotem do celi..Pobyłem tam tydzień i coś i mnie wtedy zabrali też na etap. Nas było pięciu. Wieziono nas stałypinem tak zwanym, to znaczy pociąg osobowy ale okratowany przedział i tam były nary podwójne i tam się pchało. Nas chyba tam, do jednej celi, chyba dwadzieścia pięć brali. Brali za ramy drzwi i kolanem wpychali ludzi, żeby jak najwięcej tam wciągnąć.

Zaduch, gorąco straszne było, nic do jedzenia i picia nie dawali. Później w końcu dali nam i co: dali taką rybę, że sama sól była. Głodni, niestety rzuciliśmy się na to i to jedliśmy a płynu, wody nie ma, nic pić nie dają. Formalnie to rznąło jak ogień, jakby ogień tam był w żołądku. I tak nas męczyli. Dowieźli nas do Orszy.

W Orszy wysadzili, a do lagru, do punktu przesyłkowego było dosyć daleko. Tutaj z przodu, z boków oni szli a z tyłu znowu szli też i z psami jeszcze takimi. I co chwila - a były to roztopy, marcowe roztopy, wszędzie śniegu ogromno, ale wszędzie było pełno - i co chwila: Biegom! Biegiem! Później Padnij! Tak co chwila, tak było. Kto się spóźnił, to do tego psy rzucały się jak wściekłe, kto nie mógł biegnąć. Bo byli różni, byli starzy. To było straszne.

Dowieźli nas do Orszy, wsadzili do celi. Była to dosyć duża cela, chyba jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów kwadratowych, a może więcej, a tam było ponad dwieście osób. Między innymi byli kryminaliści, którzy mieli po dwadzieścia

pięc, po pięćdziesiąt lat wyroków. Oni od razu wszyscy rozłożyli się naokoło tej celi, a reszta, to było... , jeden na drugim formalnie w środku. Przy wydawaniu zupy, kryminaliści koniecznie - bo jeśli tylko ktoś z politycznych, to od razu wszyscy rzucali się razem na niego - więc oni rozdawali, przede wszystkim swoim rozdawali najprzód zupę. Rozdali, a reszta otrzymała później. Zanim zjedliśmy czyli więźniowie polityczni to już tamci skończyli i już drugi raz brali sobie. Chleb dawali porcjami, pajki - jak to one nazywały się. To już prawda, że to musieli dawać każdemu, bo za to to jeszcze wyrok dawali, jeśli ktoś nie otrzymał pajki. To by oni, ten co rozdelał, to by dostał dodatkowy wyrok. Tam byłem coś tydzień czasu. Nas było, nas wieźli tam pięcioro, takich właśnie, którzy nie podpisali wyroku z Grodna. Nas z powrotem znów wszystkich zabrali i znowu stołypinem zawieźli do Moskwy.

W Moskwie czarnym woronem czyli karetką więzienną przewieźli przez Moskwę do drugiego dworca, że tak powiem Białoruskiego, na dworzec bodajże Kazalski, zdaje się Kazalski i tam nas wsadzili do pociągu, który jechał na wschód, na Gorki.

W Gorki trafiliśmy do więzienia. W więzieniu pobyliśmy coś tydzień czasu. Tam nam zrobili, że tak powiem dezynfekcję, odwszanie, jak oni tam nazywali. Pobyliśmy, spotkaliśmy tam jeszcze niektórych, przede wszystkim Litwinów, którzy wracali. Ich wieźli z powrotem do miejsca zamieszkania dlatego, że oni byli nie sądzemi, bez wyroku zabrani. Więc na rozprawę ich wieźli z powrotem, z łagrów. Ci ludzie nam radzili, żeby jak najdłużej zadekować się w więzieniach, jeśli możemy, że w więzieniach o wiele lepiej karmią niż w łagrach. No ale my nie mieliśmy sposobu, żeby zadekować się w więzieniu.

Po tygodniu wywieźli nas. Ja trafiłem jeszcze z jednym do tak zwanego Kniaź Pagosta, to już mniej więcej było /.../ Później jego przewalili jako Zielieznij Doroznyj Pasiełok. Tam był gierłocnyj kombinat - jak to się mówi, to drzewo obróbkowe przedsiębiorstwo. Tam robili różne deski, cieli na deski drzewo, budulcowe, na deski przeżynali, z desek tych była później specjalna suszarka, suszyli tam od razu na miejscu. Tam zresztą byli, suszyli też i takie klocki, które były specjalne samochody i z tych desek wysuszonych-był specjalny oddział tak zwany oddział stolarzy, wyrabiali różne meble, robili też ramy okienne, robili drzwi i to wszystko odsyłali gdzieś na południe do miejsc, które się odbudowywało po zniszczeniach wojennych. Ja również tam pracowałem. Pracowałem przeważnie przy - jako nie fachowiec - to przeważnie wywoziłem wióry różne, taczka wywoziłem na zsyp.

Miałem tam dobrego znajomego Polaka, nazywał się Jakubowski. Był on kulawym człowiekiem, inwalidą, ale tam pracował jako księgowy. On mnie naliczał dosyć dobre procenta, wyrabotki, ponad sto pięćdziesiąt, ponad tego, bardzo duże. Dzięki niemu ja sobie o trzy miesiące skróciłem wyrok, bo to były zaczoty tak zwane zaliczenie, czym więcej tam za tego. No i przez to trochę więcej chleba dostawałem, prawda, że to bardzo. Ale tak było tam marne jedzenie, tak było, że formalnie dawali tylko jeden chleb, to znaczy zasadnicza była pięćset pięćdziesiąt gramów, jeśli wyrobiłeś swoją normę. Najwyżej można było otrzymać dziennie siedemset gram chleba, ale chleb był taki, że twardy był, zakalcowy taki, wszystko wypieczony, że formalnie mały kawałek chleba ważył, wprost formalnie taki zupełnie, co normalnie by ważył, jakies ja wiem dwdzieścia gramów., to on ważył przeszło pół kilograma. Taki chleb.

A zupa - więcej wprost nic nie dawano - zupa to formalnie było tego, że tam lebioda, to wszystko rąbali siekierą, to wszystko rzucali i bez żadnych ziemniaków, bez niczego i to wychodziła taka czarna masa, taka zielono - czarna wstrętna bryja. I jej było tylko, litr na dzień dawali. Litr na dzień, bo była to niby norma półtora litra przepisowo, ale zmniejszyli tę normę na jeden litr. I oto nawet też byli ludzie tacy, którzy już wprost zupełnie nie mogli chodzić z głodu, bili się. Ja bezwzględnie się nie biłem, po cichu dochodziłem. Byłem opuchnięty. Opuchnięta twarz, opuchnięte piersi, nogi, cały opuchnięty byłem, chodziłem. Zdaje się wyglądałem jakbym był bardzo dobrze odżywiony, a faktycznie blady byłem i tego. W końcu już zobaczyli, że już ja wprost formalnie chodzić nie mogę. Kto dostawał paczki z domu, miał powiązania, no to tego ratowały paczki. Ja faktycznie jeszcze nie otrzymywałem i przez tego. W końcu już popatrzyli, że ja pracować nie mogę, odesłali mnie do sąsiedniej zony dla tak zwanych aktirwanych, to znaczy dla inwalidów, którzy już nie mogą pracować. Tam mnie przetrzymali coś dwa tygodnie. Tam prawie, że nie pracowałem, lekko tam pracowałem, zupełnie parę godzin, jakieś dwie, trzy godziny. Leciutką robotę i trochę lepsze jedzenie, ciut lepsze dawała. Po dwóch tygodniach przestałem, opuchnięcie moje znikło, więc wrócili mnie z powrotem do lagru tego, do tej roboty. I tam przepracowałem tak coś z półtora roku czy więcej nawet czy rok. Już tutaj połączyłem się z rodziną, zaczęli mnie przysyłać paczki. Siostra przysłała coś tam trochę pieniędzy. Co prawda później mnie te pieniądze ukradli, bo po tym jak wróciłem z zony dla inwalidów, właśnie te pieniądze dostałem, ale oni mnie zrzucili jakby dla złości do baraku kryminalistów, bo tam faktycznie zona była i dla

kryminalistów i dla politycznych, a były oddzielne baraki. Dla politycznych był oddzielny barak i dla kryminalistów. To mnie zamiast do politycznych, to do kryminalistów wzięli specjalnie i mnie tam właśnie w ciągnęli te moje pieniądze, coś pięćdziesiąt rubli przez siostrę przysłane. Byłem strasznie zrozpaczony przez to, no ale trudno. Ale już tutaj paczkę otrzymałem, jedną, drugą, wszystko. Pobyłem tutaj pewien czas.

W 1948 roku, na początku bodajże 1948 roku była akcja, że tam nasz rząd ściągał niektórych do Polski. I między innymi właśnie i Jakubowski - mój dobry znajomy, Anioł Stróż, że tak powiem, który był księgowym, który mnie naliczał dobrze, opiekował się mną i ten odszedł. A on właśnie był już bardzo dobrze tam traktowany przez naczelnika tego obozu. Po jego tylko odejściu od razu już tego, a naczelnik był, że tak powiem żydowskiego pochodzenia i bardzo nie lubił Polaków, i on jak tylko Jakubowskiego zabrakło od razu mnie wysłał do lagru moskołone tak zwane, do budowy mostu. Ciężka praca tam była, strasznie ciężka praca. Przeważnie ziemna, przeważnie nocą. Było bardzo dużo komarów, trzeba było nosić moskitierki, ale to było tak gęste wszystko, tak strasznie gorąco w tym było - to latem było - człowiek to zrzucał co chwilę. Było jednym słowem bardzo ciężko, ale na szczęście długo to nie trwało, bo wkrótce zabrali mnie i jeszcze tam jednego spod Grodna, Krawczyka, mojego kolegę, który ze mną cały czas był, zabrali do transportu na północ, daleko aż do Inty.

W Incie, w lagrze przesyłkowym spotkałem kolegę ze szkolnych lat. Ja byłem w handlówce, a on był w gimnazjum uczył się. On był synem właściciela ziemskiego. Nazywał się Tadek Herbert. Spotkałem jego od razu i poznałem go. Okazało się co; że on był w AK, później po wojnie pojechał i studiował na Uniwersytecie

im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Stamtąd chłopaka zabrali, przywieźli do Grodna, osądzili i aż tam spotkałem się z nim. Ale długo nie byliśmy, od razu jego zabrali gdzieś do drugiego lagru, gdzieś indziej.

Mnie zaś zawieźli do lagru, który pracował w kopalni, gdzie wydobywano węgiel. Tam były cztery kopalnie węgla: czwarta, piąta, szósta i dziesiąta. Ja popadłem do kopalni węgla do piątki, która była modernizowana. Wszystkie powiększono stropy, bo to było wszystko - podczas wojny to wydobywanie tam było - wszystko to w stanie jakby odkrywkowym, bo... ./koniec strony drugiej, kasety nr1/.

Pokłady znajdowały się siedemdziesiąt metrów głębokości, były trzy metrowej grubości, węgiel był dosyć dobry, no ale to dla mnie nie robiło żadnej różnicy czy dobry, czy zły. W każdym bądź razie tam było modernizowane, wydobywanie w tej kopalni prawie, że nie było. Tam wszystko było, jak to się mówi, poszerzane, podwyższane stropy. Wydobywanie tam było jeszcze kamienia. Zona mieszkalna, baraki były oddzielnie. Zona była oddzielna. Zona tych kopalń, pracownicza była oddzielnie. I tam dochodziło się, nawet chyba z parę kilometrów było od baraków.

Tutaj byli tak zwany spec lagier założyli, dla politycznych, przede wszystkim dla sądzonych z §58,1a, którym ja byłem, to znaczy zdrada ojczyzny. Było tutaj tak, że żadnej korespondencji się nie dostawało, nie było prawa ani wysyłać ani otrzymywać. Przez dwa lata tam mego pobytu czy przeszło, tylko dostałem telegram o śmierci matki., Żadnej więcej wiadomości z domu nie miałem.

Dostawaliśmy, tak samo zrobili zaraz po przyjeździe tam, robili specjalne, duże numery kazali wyszywać na plecach i na piersiach, i z tymi numerami trzeba było chodzić. Z baraku do

baraku nie wolno było przechodzić. Jeśli zobaczył, to już jemu nie potrzeba było gonić czy coś, zobaczył numer, odnotował i od razu dostawał karę. Kara była taka, że był tak zwany barak ukreploreżima, tak zwany bór, to było więzienie w więzieniu. Tam w tym baraku to już kraty były, tam wejście było, cele oddzielne były, jak w więzieniu było. Byłem tam, chodziłem, pracowałem.

- Na czym polegała Pana praca?

- Różne roboty. Oczyszczanie na przykład ścieków, kucie ścian, wywożenie parody - tak nazywał się kamień - wagonetkami. To było dużo. Też robili odpalanie, specjalnie zakładali, borowali otwory, zakładali ładunki. Później odchodzili i elektrycznością znaczy to wszystko wywalali ścianę. To wszystko później trzeba było oczyszczać, wywozić. Jeden naładował, drugi wywoził.

Któregoś dnia właśnie dostał ze stropu mnie kamień, rąbnęło mnie w głowę, rozwaliło mnie, ale dobrze, że bokiem i odwieźli, odprowadzili mnie do szpitala. Pobyłem tam tylko parę dni. Zaszyli mnie tam, mówili, że nie mam oka, że wzrok mam zepsuty czy coś. Potem mnie powiedzieli, że mogę nie iść już, bo będę miał kompleks, że będę się bał, że mogę nie spuszczać się na dół, że na powierzchni będę pracował.

Alem pracował na powierzchni dzień czy dwa a tam mróz był straszny, czterdzieści stopni czy coś, ale pod ziemią to już zawsze cieplej więc lepiej. Znow poszedłem tam. Poszedłem tam, pracowałem. Były odcinki takie, że faktycznie tam lało się formalnie, że tam jak pójdziesz, popracujesz godzinę, to formalnie suchej nitki nie znajdowało się na tobie. Wyjeżdżało się na górę a tam szterdzieści stopni mrozu. Wszystko to było waciaki. Ochronnej odzieży żadnej się nie miało. To waciaki były.

Spodnie watowe i tak zwane kufajki - watowe kurtki. I od razu to robiło się formalnie jakby z drewna. Człowiek nie mógł zginać nóg, chodził jak manekin. Takie były ciężkie warunki pracy. Tam popracowałam coś z rok, nie wiem chyba z rok pracowałam w tej kopalni.

W końcu dostałam zawrotu głowy, serce zaczęło mnie nawalać. Robiłam się, jak pijany bym chodził. Któregoś dnia po przyjeździe do stołówki, a stołówka była taka duża, tam byli oficjanci, przynosili, a jakże kulturalnie, jedzenia, tylko pożał się Boże, ale prawda, że tam o wiele lepiej karmili niż tam poprzedni gdzie ja byłem w 1947 i 1946 roku. Tam o wiele lepiej karmili, bo tam dawali do 900 gramów chleba i lepszą zupą była, tylko, że bez tłuszczu, bez mięsa, bez niczego, tak tylko. Czasami był tam kawał ryby jakiejś dawali, to znaczy dorsza kawał albo innej. To był luksus cały.

Któregoś dnia przychodzę, kiwałem się i siadłem tylko, dwie łyżki zdążyłem zjeść tej zupy - to była zdaje się wtedy zupa pomidorowa z ryżem - i tylko to zjadłem i czuję, że... . Wskoczyłem przez obrotowe drzwi, zwymiotowałem i od razu upadłem tam. Upadłem tam, a potem taka zielona ślina mi szła, wszystkie takie formalnie jakby pęcherze powietrza. Przybiegli z mojej drużyny, zabrali mnie i odprowadzili do szpitalika lagiernego.

Tam lekarze przyszli, zobaczyli. Byli dwaj lekarze Litwini i jeden był naczelny lekarz, chirurg, który był Rosjanin. Oni wszyscy też byli więźniami. Jeden był felczer - Polak, Pacholczyk nazywał się. Tamten dbał, ale Litwini też byli rzetelni. Litwini przyszli, badali puls i jakoś nie mogli pulsu ..., kazali mi leżeć na wznak. Leżałem chyba godzinę, dwie godziny i jeden lekarz w końcu, ten starszy Litwin odszedł ode mnie

a temu drugiemu kazał czuwać nade mną. Ten czuwał, siedział przy mnie, wszystko badał, a w końcu ja mówię, że przewrócę się na drugi bok. On odpowiedział, że wszystko jedno, bo myślał że to już koniec ze mną. Przewróciłem się i od razu poczułem, że mnie lepiej. Ja mówię tak i tak, już mnie lepiej. Od razu tak on duże oczy zrobił, chwycił mnie za puls, a tak - mówi - będziesz żył, będziesz żył, już serce zaczęło pracować normalnie.

Nazajutrz, to znaczy na drugi dzień, bodajże nazajutrz, mnie wypisali. Wypisali ze szpitala, ale z zastrzeżeniem, że nie mogę ciężkich robót robić. A ja wtedy, przepraszam, trochę zmienilem, jeszcze nie wszystko powiedziałem. Ja już wtedy pracowałem nie pod ziemią, pracowałem w tak zwanej drużynie betoniarskiej, która betonowała tam wszelkie... . Ja obsługiwałem właśnie tę betoniarkę. I drugi Polak tam jeden był, nazywał się Kucewicz, tam też z Grodzieńszczyzny, ze wsi Cydowicze. Właśnie tamten obsługiwał betoniarkę a ja jemu wszystko dawałem, sypałem piasek. To była strasznie ciężka praca, bardzo ciężka, bez przerwy. A oni tam całą brygadę, to byli bywsi upowcy, Ukraińcy zachodni, to oni jakoś tam kombinowali, na zmianę pracowali, a my tutaj bez przerwy. I oni co chwila to wszystko wydobywali, żeby jak najwięcej procentów sobie zdobyć. To nam było bardzo ciężko. I ja mu mówię, że dlatego zacząłem takie zawroty głowy dostawać, tutaj serce mnie zaczęło nawalać i wtedy właśnie dostałem to, że nie mogę na ciężkich robotach być.

Zaniosłem do tak zwanego proraba, to znaczy kierownika robót, karteczkę a on popatrzał na mnie, popatrzał i do mnie mówi: U mnie takich lekkich robót nie ma, wszystkie ciężkie, ale dość że mnie spisali do inwalidzkiej kołony, spisali mnie do inwalidzkiej. Mnie dawał tam brygadzista miotłę i każe

na przykład tam gdzie przejście jest, wszyscy chodzą, to żeby tam jak deszcz był czy coś, to żeby to wszystko, wodę zgarniać na bok, żeby było... . A ja już wtedy jak dobrze, lepiej zrobiło się, to chciałem jeszcze lepiej. Wziąłem miotłę od razu, jak tylko trochę tam popracuję, bardzo mało i od razu chowałem ją a sam szedłem spać. Spałem dniem a na noc szedłem pracować do kuchni, żeby otrzymać jedzenie. I tak przez pewien czas robiłem. Robiłem pewien czas, w końcu to im się nie spodobało. Ale szedłem zawsze spać nie do swojego baraku, ale do znajomego surowca, który był tam, to znaczy z mojej parafialnej wsi, co ja kiedyś tam wymieniałem, z Przewałki pochodził i do niego szedłem. On tam był dniewalnym to znaczy porządkowym, nie potrzebował wtedy..., musiał tam pracować, więc swojego łóżka i ja tam spałem. I oni obejrzeli się coś po miesiącu czy po jakimś czasie, czy nawet mniej i wzięli mnie spisali do najgorszej kopalni, gdzie byli sami 25 - letni, do szóstki.

Mnie stawili do tak zwanych odkaczyków, jak oni tam nazywali, do ciągnięcia wózków. To jechało się pustym wózkiem, pchało się pod górę pusty wózek dosyć daleko a później tam od razu ciach, nasypało się. Było nas coś siedmiu i każdy miał swoją kolejność. Broń Boże nikt nie mógł zamienić się jeden z drugim na miejsce, każdy musiał wedle kolejności tak iść tam i z powrotem. Jeden drugiemu nie wolno było pomagać. W tamtą stronę choć ciężko było jakoś tako, ale z powrotem było najgorzej, bo ciemno wszędzie, a były to styki nieuregulowane i najmniejsze niedopatrzenie powodowało, że od razu wagonetka, jedna tona, wyskakiwała z szyn i wtedy nikt nie podchodził. Musiałeś własnymi siłami potawić to na tory. Postawiłeś i wtedy... . Ja popracowałem tam miesiąc czasu. Patrzę, dochodzę już zupełnie, że ze mnie nic nie będzie. Achsobie myślę, że nie będzie. Zamiast ja tam spuszczać

się windą do dołu, chodziłem na swoją dziesiątkę, tam gdzie były biura, gdzie sobie pod kaloryferem na korytarzu ścieliłem sobie swoją kufajkę i tam sobie spałem. Tam coś tydzień czasu tak czy coś więcej tak było. Miałem tam dużo znajomych chłopaków, bardzo dużo było z naszych okolic, których połapali w 1948 roku. I w końcu oni powiedzieli, że wiesz Broniek, już teraz tobie to będzie źle, bo słyszeliśmy, jak oni między sobą... . A właśnie brygadzystami byli zostawieni, właśnie z tych kryminalistów co poprzednio było, brygadzystów tylko w tamtej brygadzie, w tej kopalni szóstce, to było wszystko, którzy mieli wyroki po dwadzieścia pięć, po pięćdziesiąt lat za morderstwo, za zabójstwo, bo oni mieli tam... , a później kto zabije, to jemu dawali jeszcze piętnaście czy dwadzieścia lat, czy dwadzieścia pięć lat. Niektórzy mieli po siedemdziesiąt pięć lat, różnie. Między innymi był tam taki Żukow, który miał dwa metry. Chyba nie wychodzi z zony najlepiej - mówili koledzy.

Nie wychodzić z zony to znaczy dostaniesz karcer, tak zwany bur, 300 gramów chleba i kubek wody na dzień. Dwa dni czy trzy dni tak dawali a później już obiadek jakiś i później od nowa tak samo. A jeśli wychodzisz czy pracujesz to wedle estatniego kotła, tak dostawałeś,

Myślę sobie, oj to źle będzie, co tu robić, ale w końcu myślę - pójdę. Jak tylko wyszliśmy i do zony weszliśmy, tej właśnie więziennej, to od razu oni wszyscy okrążyli mnie, oddzielili mnie, jeden z przodu, drugi z boku, trzeci z ..., tak mnie prowadzili. A oni powiedzieli, że ciebie mają tam zaprowadzić i ciebie wsadzić do windy, związać, wsadzić do windy i później tobie dak porządnie nabić i zmusić do roboty. No - myślę sobie - to źle. Ja dochodzę później, myślę sobie, idę, idę, w końcu dochodzę do kopalni, tam dziesiątka jest

i ja jednego jak popchnąłem i biegnę, ale gdzie oni wysokie byli, lekko pracowali, nic nie robili, no co tylko doglądali, dopędzili mnie od razu, kto jak od razu mnie - jak to się mówi - z kolanami, zwałem się. Ja tam krzyknąłem, to dobrze, to od razu tam chłopaki - już oni wiedzieli, Polaków było paru na tej dziesiątce - więc od razu ci z łomikami na nich, i oni wtedy uciekli. Ale ja wtedy już byłem, że już mnie odwieźli do szpitala.

Odwieźli do szpitala, gdzie pobyłem parę dni. Ile dni to już dokładnie nie pamiętam. Potem mnie jeszcze do buru za karę. Dostałem trzydzieści dni buru, ale jedzenie dostawałem tam normalne. Nawet później tamten bur popatrzał na mnie, że taki jestem - jak to się mówi - widać nieszkodliwy i brał mnie, żeby przynosić jedzenie, wszystko ze sobą. Tak, że ja tam dosyć swobodnie czułem się. No na noc to zamykał mnie, ale tak mnie to prawie... , chodziłem po burze. Tak, że tak bardzo źle nie było. Odbyłem i mnie spisali znowu do inwalidów. Ja już wtedy nie kombinowałem, już pracowałem, tam gdzie dawali, gdzie byli wszyscy. Mnie wzięli już do innego baraku, gdzie sami inwalidzi byli. Ja wtedy już tam pracowałem. Tam już było nieźle.

Jeszcze nie powiedziałem, że właśnie ci chłopaki, którzy później w 1948 roku, między innymi tam był taki jeden ze wsi Wieszpoła, to sześć kilometrów było od mojej wsi, to był znajomy, którego znałem jeszcze przed aresztowaniem, więc mówi: Bronek, twój konfident głowę nałożył. Rozstrzelali go partyzanci, jego żonę, teściową, brata - sołtysa, syna. Pięć trupów było za jedną noc. No tak to partyzantka, ten sam oddział z którym moja siostra współpracowała. Jeszcze jak była, to też ona tam..., bo oni ich chcieli wcześniej rozstrzelać, ale ona ich wszystkich

bronila, a później powiedziała: Róbcie jak chcecie. Wszystkich rozstrzelali. To on mi to opowiedział. No i ja mówię tutaj już ja na ten obóz byłem i przed końcem wyroku jeszcze jakieś, ja nie wiem dwa tygodnie czy trzy tygodnie, znowu przychodzi jakiś sanitariusz i mówi: Przepieść - a po rosyjsku nie mówi się Przepieść ale Prepieść - Prepieść Bronisław do sańciatki. Ja mówię: Co się stało? A on odpowiada: No wy balnoj, że jesteś chory, do sańciatki. Ja mówię, że nis podobnego, jestem zdrowy a mnie się tam specjalnie nie chciało leżeć, bo było mi tu dobrze. Nie - mówi - zabieraj się. Ja mówię, że nie pójdę i już. On długo tam..., ale w końcu poszedł i z karabinem przypro- wadził nadzierlakiela. No i tamten: Zabieraj się do sańciatki! Balnoj! A tam spotyka mnie felczer Pacholczyk i mówi: Ach ty wariacie, przecież oni ciebie chcą jeszcze przed końcem wykoń- czyć. Ja mówię: Co?! Ciebie znowu spisali do kopalni, jeszcze aby parę tygodni - mówi - ciebie wpisali do dziesiątki, żebyś pracował. Ja mówię: Do diabła!

No i tak coś dwa tygodnie pobyłem. Akurat termin mojej wysiadki kończy się, przychodzi już MGB, dozorczy, no tak, no tak. Gdzie Bronisław Prepieść? No to dawaj jowo. Kiedy przysze- dłem on mówi: Oswabażdan budiesz, pajdiosz? A lekarz mówi: No ja nie znaju czy on balnoj, może isti? No to spytajcie się. A ja mówię, że mogę iść, dlaczego nie. No to dawaj i mnie zapro- wadzili do przeszłyennego punktu. Jeszcze tam zarobiłem karcer i jeszcze coś, nie wiem za co. Ja tam tego to już nie pamiętam. Nabawiłem się tam żółtaczki, ale nie wiem czy od przejścia tam. Niby to popatrzył w oczy i mówi: Macie żółzaczkę, możecie odmówić na transport, a miałem już jechać na zesłanie, na Syberię. Do domu nie dawali, na Syberię. Myślę sobie, dobrze to ja pojedę ale nic nie odczuwałem choroby. Ale od czego była ta żółtaczka,

niby to poznali, to ja nie wiem. I tak pojechałem.

Zawieźli mnie przez Gorki, przez Świerdłosk do Nowosybiraska. Później mnie z powrotem zawieźli tutaj, stacja Czany, to między Sybirskiem a Omskiem i tam wysadzili i zaprowadzili do rejonowego punktu Węgierowo. Tam mnie znów posłali, nas czterech do kołchozu Chmiełowaja. Tam pracowałem. Tutaj mnie dali to, że jestem skazany na wieczne zesłanie w oddalone strony Sowieckowo Sojuz. Na wieczne zesłanie. No tam pojechałem. Tam dawali tak: dwadzieścia kilogramów mąki miesięcznie i coś litr czy dwa litry mleka dziennie. Nawet nie pamiętam jak to mleko zesłańcom rozsyłali. A tam we wsi były prawie same kobiety. Wszystkie wdowy po zabitych w wojnie. I ot ty budiesz u takiej tam, akurat pasuje budżet, ty Bronisław u takiej budżet... Moja to była taka straszna, ale była faktycznie dobra kobieta, nawet dosyć porządna. Ją tam przezywali germanką, bo nie wiedzieli o mężu. Zdaje się, że on prawdopodobnie czy nie w Germanii się zatrzymał, gdzieś tam uciekł. Germanka ją przezywali. Ale tak dosyć na ogół porządna na ogół była kobieta. No ja tam po- byłem ale nie wiązałem się z nią, bo jeden to związał się. Drugiego to tam z Kurska, to zabrał taki staruszek, który powiedział: O jak od Kurska, to ty mój ziemiak. To już od razu zabrał, nikomu nie dał, żeby jego poniewierać i on zabrał to było stare małżeństwo. A jednego dali do takich młodych. On był najmłodszy z nas. Miał chyba dwadzieścia lat czy ile. Tak prze- byliśmy tam. Później myśmy uciekli stamtąd, poszliśmy do rejonu, żeby nam dali gdzieś. To nas zamknęli, coś miesiąc czasu prze- trzymali w areszcie w rejonie MGB i znowu nas tam z powrotem odwieźli.

- Który to był rok?

- To był 1950 do 1954 roku.

To tak było mniej więcej na tym zesłaniu. Ja tam dwa lata chyba byłem czy coś, bo ja początkowo, to ja tam byłem... . Mąkę jak dostawałem to piekli prawie codziennie takie kołaczyki, bardzo dobry chleb, z razowej mąki. To ona biedna, ta kobieta już mnie chleb piekła ale tam równocześnie i dla siebie trochę zagarniała. To ona robiła co: miała córkę tam już dorosłą, prawie panna, miała szesnaście, osiemnaście lat. Nawet nie wiem dokładnie ile ona miała lat. No to ona brała dla siebie chleb, nic mąki swojej nie miała, to ona brała ziemniaki, rozcierała na tarce całe wiadro, garść mąki - ode mnie na pewno, bo ja dwadzieścia kilogramów to na pewno nie zjadłem - i to wymieszała, wymieszała, później na blachy i do pieca chlebowego, ruskaj piec - jak oni go nazywali. Wychodził taki chleb widać że od tarki taki porowaty, czarny. To ona jeszcze: Bronisław kuszaj naszego chleba, spróbuj. Ja mówię: Nie chacię, ja wolę kartoszkę, ja wolę ziemniaki. A ona patrzy, to obrażała się. Och - mówi - te państwo to szybko się skończy, co wy teraz przejecie - i faktycznie byłoby tak chyba - to wy do końca życia nie odpracujecie tutaj. No bo tam faktycznie było 15 gram ziarna na truda dni dostawali. No to ja mówię tak. Pobyłem tam. W końcu coś mnie tam wkurzyło i przeszedłem do drugiej.

Tam pracowałem a tamta była o wiele młodsza od tamtej i tamta chciała, żeby ja z nią żył jak mąż z żoną, a mnie to nawet nie odpowiadało. Ja myślę sobie: cholera ja będę z ruską i tego też nie. To mnie wygoniła, powiedziała, że... . Ja tam napracowałem się, drzewa jej narąbałem, to jeszcze mnie wszyscy mówili, że bym ją to zabrał, ale myślę sobie: A niech tam diabli, nie będę walczył z kobietami. Jednym słowem, że ja odszedłem od niej i poszedłem do trzeciej.

Trzecia miała dwoje dzieci, jeszcze takie niedorosłe. Chłopak miał osiem, najwyżej dziesięć lat. Dziewuch miała jakieś czternaście lat. Ona była kilka lat młodsza ode mnie. Jednym słowem, że tam. No pobyłem tam i któregoś dnia magazynierka tam zmieniała się, odmówiła, że ona jest już stara i nie chce pracować. Więc tutaj nowego magazyniera. Kogo? No to więc moją gospodynię, a ona mówi: Przecież ja mam tylko dwie klasy, ja nie potrafię. A ona mówi: Przecież u ciebie Bronisław jest. A moja gospodyni mówi: No to co Bronisław? No pomoże, za ciebie będzie robić. A moja gospodyni: A ja wiem czy będzie? No to zapytaj się.

No ona przyszła do mnie tak i tak. Mówi: Bronisław mnie chcą zrobić magazynierką, kładowszczykom - jak oni tam mówią, czy mnie pomożesz? Przede wszystkim w rachunku piśmiennym, natruda dni naliczyć, robocze dni. Ja mówię, że później protokoły trzba robić, zniszczenia, ile ziarna czystego, bo przesiewa się ziarno, bo przywozi się i trzeba zapisać ile na plewy idzie, na odchody, na odpady, ile czystego. I ja mówię tak: Jeśli będzie 100 kilogramów pszenicy dla mnie i prosiaka wykarmisz to zgadzam się. A ona mówi: Dobrze.

No to dobrze. ja tutaj zacząłem pracować i wszystko robić. Tutaj któregoś dnia, już to było pod zimę, zabrakło im pieniędzy na wypłatę. Za truda dni trzeba było zapłacić. No więc coś, tutaj akurat, bo tam było coś cztery lub pięć wsi w jednym kołchozie./koniec strony I, kasety drugiej/.

Ferma, krowy były w każdej wsi. Oni przyjechali i mówią, że będą bić świnie, wieźć do Omska, sprzedać na rynku, wziąć pieniądze. Przyjechał - też zesłaniec- z tej głównej wsi gdzie były już same ten cały precedakiel tego całego kołchozu .

Zesłaniec był Żydem, ale bardzo porządny był. Przyjechał i on jako weterynarz był i on będzie patrzeć czy wszystko mięso zdrowe, czy nadaje się do sprzedaży. No i chodzi, chodzi, patrzy. Tam coś kilkadziesiąt świń zabili no i on między innymi znalazł takie finozne tak zwane krupczate świnię są, krupy takie. To może takie szkodliwe tak bardzo nie jest dla ludzi. Faktycznie to można jeść, ale to nieprzyjemne.

On popatrział. Jedną czy dwie znalazł takie. To on wziął jedną jeszcze raz nałożył na zdrową i mówił, że ta też się nie nadaje. Coś siedem sztuk odwalili, że nie nadają się do sprzedaży tylko jako pokarm dla kur. No i tak spisali ten protokół, resztę zabrali, zawieźli na rynek, a to narazie do kładowej, do magazynu. Resztę złożyli do magazynu.

Później on któregoś dnia przyjeżdża, po dwóch tygodniach czy coś, popatrział na mnie i mówi: A co ty nic się nie poprawiłeś. Taki sam jak byłeś. A ja mówię: Od czego poprawić się mam? Od postnej strawy? Czego chcesz? Jak to - mówi - tyle mięsa masz w magazynie. Mówię: Bój się Boga, raz, że to finozne. A on odpowiada: Przy takiej pogodzie nic on już nie szkodzi, absolutnie, a po drugie tam jest parę sztuk zupełnie zdrowych. Powiedział, że on tak schytrował, że on tylko narzucił krupy. Ale mówię: To dobrze to raz, a po drugie przecież to nie ja prowadzę. A on na to: No przecież od ciebie wszystko zależy, ty prowadzisz w zasadzie a nie ona, ona tylko figurantka. A ja: No ale wszystko jedno, ona odpowiada a nie ja. A on: No ale dobrze powiedz jej żeby... . My pójdziemy a ty tutaj - wyjął pieniądze - weź swoje dołóż i idź po litra.

Poszedł i rzeczywiście nacięli mięsa a ja poszedłem po litra. Przyniosłem litra i my bal urządziliśmy. Później on pojechał, tak że myśmy mieli prawie całego wieprzaka i zjedliśmy.

On przyjechał coś po tygodniu czy po dwóch i mówi: O już lepiej wyglądasz. Ja mówię: No tak, ale już wieprzaka nie ma. On mówi: Nie bój się. Ja mówię: Tobie zapakuję jednego wieprzaka. On mówi: Za dużo dla mnie, po co mi tyle, wystarczy połówka. Poszliśmy, Ciach połówkę tę jemu zawiązaliśmy w worek, zakręciliśmy. Ja założyłem, zdaje się bykiem czy tam koniem, nie pamiętam dokładnie, ja go założyłem, bo tam woły były przeważnie, robocze to wołami, ale konie też mieli, ale wołami najwięcej się jeździło. Zawiozłem go, a resztę po pewnym czasie... . Przyjechał, ale ja mówię: Popatrz już dwie świnki zostały się, tusze. On mówi: Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Wtedy były jeszcze trzy śwynie. Raz dwie wzięliśmy, to jedną rozcięliśmy na części, daliśmy zastępcy kierownika kołchozu, drugą połówkę dla kobiet, a resztę, dwie śwynie najgorsze takie, wzięliśmy, zanieśliśmy, ogień rozłożyliśmy, słomy daliśmy i spaliliśmy wszystko. Później podpisaliśmy, że wszystkie nie nadawały się finozna ani do karmienia kur, ani do niczego. Wzięliśmy i spaliliśmy wszystko, siedem sztuk, co było w obecności takiego i takiego, taki i taki podpisali się i koniec.

Ja tam pracowałem jak koń. Później ten, ledwie podpisać się umiał, a on niby to przychodzi i mówi: Bronisław pomóż naliczyć truda dni. No i ja przychodziłem. Ja przychodziłem naliczałem wszystko, ale ja mówię dla mnie też. A on: No to dla ciebie też, a jakże. To dla mnie, za to że napisałem, trzy czy pięć truda dni zapisał. Jak przyszło się to ja miałem chyba tysiąc dni za rok.

Później mleczarz to poprosił mnie, żeby wylać jemu taką piramidę z lodu a to mróz. A to się kładzie cztery deski i to się zalewa, od rano automatycznie to zamarzało. Jak tylko to zamarzało, to ja znów stawiam wyżej i znowu te deski tak, już

trochę, i to tak piramida ale już trochę węższe. Taką górę lodu wylałem i on mnie forszą zapłacił tam za to. I później popatrzał tam drugi i z drugiej wsi też mleczarz, kierownik mleczarni mówi do mnie: Też przychodź. Ale u niego to znaczy, trzeba było wozić wołem, odbijać przeręblę i wozić wołem lód i wszystko tak układać tam. Ja złożyłem wszystko i on miał zabezpieczyć, tam trociny założyć. Wszystko to było na górze i bardzo nasłonecznione, a on tego nie zrobił i to wszystko stopiło się jak tylko przyszło słońce. On mówi: Nie wypłacam. A ja: Jak to nie wypłacasz? Musisz zapłacić. A ten mi mówi pierwszy, z naszej wsi mleczarz: Podaj do sądu, cham sam nie dopatrzył, to z jego własnej kieszeni tobie zapłacę. I rzeczywiście podałem do sądu, przyznali, zapłacił. A jak tam było czy z własnej kieszeni, to już trudno powiedzieć jak jemu przysądzili, nawet nie przypominam sobie.

Ja tutaj pobylem i w końcu przyszło MGB - naczalnik. Ja mówię, że ja tutaj nie chcę być - a mnie to było faktycznie tutaj chyba najlepiej - ja nie chcę tutaj być, musicie mnie przenieść do... . Ja mówię, że tutaj ani kina, ani nic. On wziął i mnie przeniósł, a tam było gorzej. Tam była duża mleczarnia, masło - złot, jak oni mówią - ale mnie tam kazali pracować, a ja tak mało zarabiałem, że niech to licho porwie. Ja tam ledwo żyłem. Tam nazywało się Wolnosienskoje. Tam pobylem pewien czas i zastrajkowałem. Trochę pieniędzy zaoszczędziłem, odbierałem sobie od ust. Zaoszczędziłem. Na ziemniakach i maślance tylko żyłem. Przeważnie tylko to jadłem, tylko ziemniaki, które sobie posadziłem jak tylko tam poszedłem - wyrosły mi, nawet obrodziły dobrze - i później tylko na maślance. Pobylem tam ileś miesięcy i zacząłem strajkować. Nie pracowałem jeden miesiąc. Przyjechali i mówią: Jak to nie pracujesz, to

pewnie kradniesz. Z czego żyjesz? Ja mówię: Jeśli kradnę to proszę mi udowodnić, a tak to nie wolno. Chociaż jestem tutaj zesłańcem bez praw, ale chyba nie wolno wam mnie obrażać. Popatrz na mnie i znów pojechał. Po miesiącu znów wraca i pyta się. Ja mówię, że nie pracuję i nie będę. No to w końcu mnie do sowchozu przeprowadził.

Tam więcej zarabiałem, ale też taka marna praca, też tam wywoziłem gnój z obory, nocami, karmiłem krowy, była niedobra praca. Akurat, to było zaraz któregoś dnia, wracam do domu tak w nocy chyba, po nocy, a mieszkalem u tak zwanego abieszczyka, to znaczy starszy gajowy sowchoznych lasów. On był inwalidą wojennym, bez ręki. On miał żonę i chłopaka. U niego mieszkalem na kwaterze. No tutaj przychodzi a on: No Bronisław nasz atiec Stalin pamior. A ja mówię: Ot żałka, że tak pozdno padok - tak im walnałem. A tam były coś cztery kobiety czy pięć, nie wiem tam, sąsiadki i rozpatrywali tę sprawę. I ja poszedłem sobie, położyłem się.

Nazajutrz, nie wiem czy to ja miałem wolne, czy coś, poszedłem do kantory, to znaczy do biura sowchoznego, a już tam mi mówią: Znajesz Bronisław, szto na ciebie donosił etat twój chazjajen, szto ty tak i tak skazał? Ja mówię: Co? Twój gospodarz powiedział, że na ciebie skargę złożył, że ty powiedziałaś, że szkoda, że tak późno umarł Stalin, do MGB. Wziął za świadk. w sąsiadki, które były, ale wszystkie powiedziały, że one nic podobnego nie słyszały, że on od razu przyszedł taki zmęczony i położył się spać i nic nie mówił. Więc on mówi, że nie ma co i postawił za świadka swoją żonę i swego syna. Oni powiedzieli, że to nie są świadkowie, że to jest najbliższa rodzina, co powiesz to tego. I jemu podobno powiedzieli, że tylko dzięki temu, że jesteś inwalidą - mówi - a tak to byś

poszedł siedzieć za klewiatu, to znaczy za oszczerczy donos. Ale mówi, że ma przyjść jeszcze zbadać jakieś konfidentki, też zesłanki. I rzeczywiście przyszły takie dwie babki, które ja znałem. Jedna między innymi po polsku rozmawiająca Żydówka z Litwy, dobrze rozmawiała po polsku. A druga... . Ale one od razu powiedziały, że rzeczywiście my pracujemy dla Związku Radzieckiego, ale na ciebie na pewno skarżyć nie będziemy. To ja jeszcze wtedy coś po pięćdziesiąt gram postawiłem i poszły sobie. Powiedziały, że są przysłane na mnie, żeby mnie sprawdzić czy tak i tak powiedziałem, ale mówią, że na ciebie skarżyć nie będziemy. Dla nas to obojętne. Poszły. Mnie nic nie było za to.

- Miał Pan szczęście.

Wtedy po śmierci Stalina to tam nawet pułkownik jeden to wesele zrobił. Stalin jeszcze nie pochowany, żałoba jest a on wesele zrobił. Ale nic jemu nie zrobili, tylko prznieśli gdzieś - dla ludzkiego oka widocznie - prznieśli gdzieś do drugiej miejscowości. Prawdopodobnie jeszcze lepsze miejsce niż było tutaj. Ale oni zupełnie już wtedy, bezwzględnie... . Żeby poprzednio to wszystko jedno, oni by nie patrzyli, jeśli za Stalina to oni by badali, ale tak to już oni nie wiedzieli tutaj, czy to na razie, może to i rozluźni się. No i tak tam przebyłem. W końcu co ja tam pracowałem - zaraz dali - w końcu ja tam też przestałem pracować, też zastrajkowałem, żeby mnie dali do pracy na stroitelstwoje, jak to się mówi, w budownictwie, że tam mają tylko jeden dzień wolny - niedzielę. Przyjechał i się pyta: Dlaczego ty nie pracujesz? Ja mówię, że chcę na stroitelstwo, bo jestem człowiek wierzący, niedziela u nas powinna być zawsze wolna na modlitwę i ja chcę mieć. On mówi, że nie, a ja: To nie będę pracować w ogóle, I nie

pracowałem. Nie pracowałem miesiąc czy coś. Jeszcze się jeden Ukrainiec, młody, który też zaczął strajkować. To nas wzięli później wywieźli do lasu takiego, myśmy się zgodzili. Oni nam zaproponowali, że jak tam popracujemy, to nas później do rejonu, do Węgierowo, tam na sroitielstwo wezmą, tam będą... .

Zawieźli do lasu, żebyśmy im przygotowali drzew na zimę. Narznęliśmy, nas... , wszystko już gotowe do samochodu, żeby tam naładowali, bo oni będą odwozić. Myśmy z miesiąc czasu czy ileś tam popracowaliśmy. Nawet dobrze tam zarobiliśmy, ale ciężka praca, od świtu do nocy, to w czerwcu - najdłużej od świtu do nocy. Myśmy pracowali tam.

Po przyjeździe zatrzymali nas w Węgierowie, ale nam sroitielskiej pracy nie dali. Jednemu tylko tam, który już pracował, to już... . Ale myśmy tutaj przybyli. Później ja pracowałem trochę na bazie tam tej, takiej gdzie był magazyn, różne rzeczy tam były, ta baza towarowa. Tam trochę popracowałem.

Później już jak Stalin umarł, to zawarliśmy taką umowę z kołchozem. Nas było sześciu. Zawarliśmy umowę tam z jednym kołchozem zbudować oborę na sto krów z podłogami, ze ściekami, pojemnikami na odpady. Tam ktoś inny to już miał awtopoilki - automatyczne poilki zainstalować. To wszystko z drzewa. Tylko same były słupki - to już nie do nas należało - z cegły, a w tych słupkach takie ścianki drewniane. Myśmy później podłogę zrobili. Robiliśmy, to myśmy tam zarobili nawet nieźle. Nas tam karmili, to sami sobie kupowaliśmy, a oni dostarczali nam po takiej i takiej zapłacie. Nawet dosyć tanio, bo po 50 kopiejek kilogram karasi tam było, masło. Kołchoz nawet nie tak drogo nam cenił. Myśmy wszystko to brali, mleko. Zrobiłem to, to już było w 1954 roku. Już ja tutaj dostałem zwolnienie, a jeszcze nie skończona robota, to mnie o tak

paliło się, paliło się.

Jeszcze jedno zapomniałem powiedzieć ojej! Jeszcze jedno. Przed tym kontraktem a po robocie dla MGB na drzewo, to mnie namówił i jeszcze jednego, żeby sędziemu zrobić drzewo, na zimę narąbać. Myśmy pojechali do lasu, myśmy zrobili, ale jemu się nie spodobało, że tam dużo dziur jemu żeśmy zrobili, żeby jeszcze więcej drzewa narąbać. Myśmy nie zgodzili się. On do mnie miał cholerną... , że to ja byłem jak gdyby starszy od tamtego, że wszystko ode mnie zależy i on na mnie wziął oko. I później akurat w tym czasie, jedna tam jakaś łajdaczka, nie wiem o co u mnie tam wtedy poszło, nie pamiętam dokładnie, posprzeczałyśmy się i ona do mnie mówi: Ty polskaja morda, to ja jej bęc w mord rąbnąłem i powiedziałem: Ot tiebie Polska morda. Ona mnie podała do sądu. I tam była druga taka idiotka, która powiedziała - a ona miała wyciek z ucha - powiedziała, że od tego jej wyciek z ucha. Sąd - a on już zły na mnie - sąd wchodzi i ja mówię, że tak i tak, za obrażenie dostała po buzi ale bynajmniej po uchu ja jej nie uderzyłem. Mówię, że to jest obraza, jak ona mogła tak powiedzieć. A sędzia: O to żadna obraza i mnie dał sześć miesięcy z zawieszeniem. Nie wiem czy to była klauzla, czy coś cholera, co to mnie właśnie nie wolno było ruszać się z miejsca czy coś przed upływem tego terminu, zdaje się czy coś.

Tutaj mnie akurat już kończy się, robotę skończyłem już tutaj. I ja od razu nic, siadam tam, z jednym akurat tam byłem, bo 70 kilometrów było z tego miejsca do stacji kolejowej. Akurat jedzie jeden gość takim gazikiem po jakiś sprawach i ja mówię: Weźmiesz mnie? A on: Dlaczego nie, siadaj, zabrał mnie. Ja wszystkie swoje rzeczy tam jakieś miałem, co tam ja miałem, prawie nic nie miałem tam i z nim siadłem. A tamta mnie właśnie ta, która świadkiem była, że ja ją niby po uchu uderzyłem

to właśnie mówi o ... , ona wiedziała, że to będzie jak to ja jadę. Widocznie ona wiedziała o tych ich prawach a ja nic nie wiedziałem.o tych prawach.

Ja jak przyjechałem do domu, tylko pobyłem coś parę miesięcy i po mnie znowu przyszli i aresztowali mnie. Aresztowali, do więzienia i sześć miesięcy musiałem odsiedzieć. Tak, że ja w 1954 roku wróciłem, pobyłem w domu i odsiedziałem. Później wróciłem do domu po odsiedzeniu tych sześciu miesięcy, znowu tutaj pracowałem w lesie zarobkowo. Później byłem z bratem traczem traczem, opiłowałem drzewo dla jednego ze znajomych. Później mnie rodzona siostra przysłała z Białegostoku, tak zwany wyzow. To było już w 1957 roku.

Przysłała mnie wyzow i ja już tutaj jadę załatwiać dokumenty, a tam już jakiś ich naczelny major w biurze do mnie mówi: Czego ty tam jedziesz? Zostań. Będiesz pracował. Siostrę? Jaka to tobie rodzina? Żeby to matka, żeby to ojciec, żeby to żona, ale siostra? Przecież przy niej to ty nie będziesz, ty powinieneś swoją rodzinę założyć, a nie tam do siostry. Tutaj ożenisz się, będziesz. A ja mówię: Co ja mam tu u was żyć? Wy mnie zawsze cały czas będziecie wytykać, że ja jestem po politycznej sprawie, pomimo tego, że zatarcie jest, że niby to zwolniliście, ale wszystko jedno. Będziecie patrzyli, że to dawny polityczny więzień. Żadnej odpowiedniej po moim wykształceniu nie dacie pracy. Jeśli ja się ożenię i będę miał dzieci, to bezbożnicy będą - to raz. Po drugie nie będą mieli polskiej szkoły, to znaczy wanarodowią się. Ile jest tutaj wszędzie Polaków, a czy jest choć jedna polska szkoła? A on: A czort z taboju, pajeżdżaj. No i mnie od razu zapisał. Ale zaświadczenie, które informowało, że tam i tam siedziałem, zabrał. To zabrał. Nie wiem czy to powinno, bo niektórzy przywieźli z sobą. On zabrał

to podanie. Ja tutaj przyjechałem w 1957 roku, w miesiącu marcu. Zaraz urządziłem się w miesiącu maju na politechnice pracować. Na politechnice pracowałem cały czas, 25 lat pracowałem na Politechnice Gdańskiej w elektrotechnice morskiej. Pracowałem najprzód jako starszy referent zaopatrzenia, ale równocześnie byłem i magazynierem. Pobyłem tam coś. Później przeszedłem już na technika, jako technik byłem, na etacie technika, później starszego technika. Później były nieporozumienia między nowym dyrektorem a tym tego. Bo był Markiewicz początkowo profesor tam tym, były bardzo dobre stosunki, a później nowy przyszedł to jemu woda sodowa do głowy uderzyła. Taki przykład. Początkowo to sporo odeszło starych pracowników między innymi i ja odszedłem i poszedłem do drugiego miejsca, do telekomunikacji. Tam pracowałem również już jako magazynier tylko, ale też na etacie starszego technika. Później nawet przed końcem to jako mistrz, żeby wyższe pobory otrzymywać. I już później wyrobiłem sobie kombatanctwo, przyznano mi inwalidztwo wojenne. Najpierw III grupy, później II grupy, a teraz już jestem inwalida I grupy.

Podczas pracy w Politechnice Gdańskiej przyjechała do mnie narzeczona, właśnie ze wsi Jeziorki, z którą się kolego wałem, przyjaźniłem przed wyjazdem. Ona już na podstawie tak zwanej drugiej repatriacji przyjechała do Polski. Była w punkcie repatriacyjnym w jeleniogórskim czy zielonogórskim, dokładnie nie pamiętam. Przyjechała do mnie, a tam rodzinę zostawiła: matkę, siostrę, brata a sama przyjechała. Myśmy tutaj wzięli ślub w marcu 1958 roku. Żyliśmy dosyć szczęśliwie. Z tego małżeństwa urodziło nam się dwoje dzieci, córka Wanda i syn Jerzy, który obecnie jest w wojsku. Córka jest niezamężna, ma 25 lat. Syn ma 24 lata.

Żona moja Felicja była młodsza ode mnie o 12 lat, ale jakoś nigdy nie odczuwała tej dużej różnicy wieku. Nie odczuwała, nie skarżyła się, że mąż jest za stary czy coś. Tylko była zawsze zdrowa, pogodna, bardzo dobra gospodyni dbająca tak o męża jak też i o dzieci. Niestety nabawiła się raka piersi. Nosila jego chyba jakieś 15 lat czy 17 lat i dała się namówić lekarce, chyba rejonowej, ludziom i poszła do lekarzy, do onkologów, i tam faktycznie została formalnie pod płaszczkiem kitla wyprawiona na tamten świat, zamordowana. Kiedy poszła do Akademii Medycznej, kiedy onkolog - lekarz spytał się, ile lat to ma już ten guz, który był bardzo niewidoczny, był płaski, nie bolał jej i nie dokuczał, ile lat to nosi? Ona powiedziała, że siedemnaście. Lekarz powiedział: No to już na zabieg za późno. Żeby był lekarz sumienny, żeby miał chociaż poczucie odpowiedzialności jakiegokolwiek, to zamiast bez pytania, bez niczego, jak on wziął wycinek, to zamiast tego, to on powiedziałby, że jeżeli pani nosiła to dotychczas, to niech pani nosi nadal. Nie będziemy w ogóle jego ruszać, chyba, że pani chce koniecznie, to ja mogę. A on bez pytania, bez niczego, kiedy tam ludzi coś było sześć czy siedem osób oprócz lekarza, pielęgniarka z tyłu siedziała, odezwała się tam coś, a ona odwróciła się do niej, a on w tym czasie nie pytając się czy wziąć wycinek, czy nie, przyszedł wycinek wziął i od razu katastrofa. Po miesiącu otwór się zrobił w tamtym miejscu. Po roku przerzut do stawów kostnych, następnie do płuc i tak kobieta 55- letnia poszła przedwcześnie na tamten świat. Rozpacz moja jest dotychczas straszna. Na wspomnienie tego łzy cisną się do oczu.